

Jan Miewiarowski

POD MIŁOŚLAWIEM
I WRZEŚNIĄ

W. Linkowski

368

02119 945



02119

POD MIŁOŚLAWIEM I WRZEŚNIĄ.

BIBLIOTEKA-DLA-MŁODZIEŻY

Luty

Tom II.

JAN NIEWIAROWSKI

POD MIŁOŚLAWIEM I WRZEŚNIĄ

OPOWIADANIE z LAT DAWNYCH



WARSZAWA

NAKŁAD REDAKCJI „PRZYJACIELA DZIECI”

1910

nr



Druk Towarzystwa Akcyjnego S. Orgelbranda Synów.



Cesarz Napoleon I w Berlinie, po zwycięskiej kampanii
w roku 1806.

Zjeżdżenie Polek
Radom

Zjednoczenie Polak

Radom

W miesiącu marcu 1848 roku ludność Berlina, hołdując głośzonym wówczas w całej Europie wielkim zasadom równości, wolności, sprawiedliwości i braterstwa — poczęła się burzyć przeciwko królowi Fryderykowi Wilhelmowi IV-mu i domagać się lepszych praw i liberalniejszych rządów.

I pod naciskiem ludu król pruski począł stopniowo wprowadzać różne, gorąco przez wszystkich upragnione reformy i zdawało się, że w Prusach dobre, sprawiedliwe czasy nastaną.

Przy wydawaniu nowych praw nie pominięto i Polaków, obdarzeni oni zostali pewną swobodą i mnóstwem pięknych obietnic...

Lud berliński, serdecznie wówczas usposobiony był dla Polaków i wypuszczonych z więzienia w Moa-

bicie *) polskich więźniów politycznych, z tryumfem oprowadzał ich po ulicach miasta, gorące okrzyki na cześć Polski wznosząc, ale rząd pruski już obmyślał nowe środki dla gnębienia Polaków i łudzając ich pięknymi słowami, upatrywał tylko dogodnej chwili.

Za wiedzą władz rządowych pruskich utworzony został w Poznaniu Komitet Narodowy Polski, który szczerze pracować począł, by na drodze pokojowej uzyskać od Prus obiecane dla Polaków nowe sprawiedliwe prawa.

Ale naród polski nie wierzył znanemu ze swej obłądy rządowi pruskiemu i chciał z bronią w rękę walczyć z ciemiężcami o swobodę i prawa.

Zaczęły się więc w Poznańskiem tworzyć tu i owdzie polskie oddziały zbrojne, a władze pruskie, zajęte zamieszkami w Berlinie i całych Prusach, nie przeszkadzały temu na razie, ba, obiecywały nawet, że to wojsko polskie będzie stałe zachowane, że Poznańskie otrzyma całkowitą samodzielność pod zwierzchnictwem królów pruskich i t. p.

*) Więzienie w Berlinie.

Stopniowo jednak rząd pruski odzyskiwał utraconą na czas jakiś siłę i począł zalewać swem wojskiem całą Wielkopolskę.

Żołnierstwo pruskie otaczało zewsząd nowopowstałe obozy polskie, tu i owdzie napadało na polskie wsie, odbierając chłopom lance i kosy, grabiąc i łupiąc spokojnych mieszkańców i mordując bez litości opornych.

Komitet Narodowy łudził się jeszcze, że rząd pruski nie ma złych zamiarów względem Polaków i zawarł nawet z generałem pruskim Willisem ugodę w Jarosławcu, 11 kwietnia 1848 roku, na zasadzie której liczbę formującego się wojska polskiego ograniczono do trzech tysięcy i rozlokowano w czterech obozach: pod Miłosławiem, Książem, Nowem Miastem i Pleśzowem.

Ale rząd pruski, zgromadziwszy w Wielkopolsce 30,000-ną armię, odwołał generała Willisena, ogłosił w Poznaniu stan oblężenia i powoli gromadził swe wojska w sąsiedztwie polskich obozów. Wojsko polskie, zagrożone przez ogromne siły wrogów, nie myślało bynajmniej o złożeniu broni i chciało walczyć do upadłego.

Jenerał Ludwik Mierosławski „inspektor obozów polskich”, uwielbiany przez żołnierzy i powszechnie „Naczelnikiem” zwany, zbierać począł swe wojsko pod Miłosławiem, lecz głównodowodzący armią pruską, jenerał Colomb, postanowił przeszkodzić temu i odrazu zgnieść poszczególne oddziały polskie *).

Tak rozpoczęła się walka w Poznańskim.

*) Czytaj: Rok 1848, przez Wł. M. Kozłowskiego, wydawnictwo „Przyjaciela Dzieci”.

I.

W Wojnowicach.

Dziwna była to wiosna 1848 roku. Szła pogodna, ciepła i gubiła śpiesznie resztki śniegów i lodów i grzała jasnymi promieniami słońca budzącą się ziemię, a jednocześnie, razem z bocianami i skowronkami — wiodła ze sobą ciekawe wieści.

I szły te wieści hen! nad całą ziemią Wielkopolską, nad tą kolebką Polski — nad prastarymi polskimi grodami — Gnieznem i Poznaniem — nad setkami wsi i miasteczek i głosiły i zapowiadały, że może wreszcie będzie lepiej.

A ludziom, niosącym od kilkudziesięciu lat twar-

de jarzmo pruskie, uciskany mrogo przez hardych i chciwych najeźdźców, wstępowała nadzieja do serc zbolących i witali z radości wielką tę zapowiedź lepszej, jaśniejszej przyszłości.

Gwarzyli też sobie wszyscy o tych upragnionych, lepszych czasach, kiedy zły Prusak zaprzestanie gnębienia, kiedy bezprawie ustanie, sprawiedliwość powróci i nieszczęsny Polak na własnej ziemi swobodnie oddychać zacznie.

We wsi Wojnowicach, tuż nad Wartą, ludziska równie gorąco, jak i w całej Wielkopolsce, pragnęli końca dotychczasowej swej niedoli i pogwałcenia, i niecierpliwie wyglądali lepszych dni.

W niedzielę Przewodnią, po nabożeństwie, zebrało się kilkunastu sąsiadów w chacie gospodarza Walentego Mocarka.

Ciepło było, prawie jak na Ś-ty Jan, więc porozsiadali się wszyscy przed chatą na przyźbie i na przyniesionych z izby ławach i słuchali chciwie opowiadania ojca gospodarza, starego Macieja Mocarka.

— Ho, ho! — moi kochani — prawil stary, pyhając zwolna małą fajeczkę — nie bardzo ja tam wierzę temu wszystkiemu, co teraz o dobroci Prusaków

mówią. Prusak — to zawsze podła szwabska szelma i na razie gotów wszystko obiecać i na wszystko się zgodzić. Poprzysięże on największą sprawiedliwość, będzie obietnicami pięknymi sypał jak z worka, — ale jak tylko mu się uda, to nigdy niczego nie dotrzyma... Ho, ho!... zdradziecki to naród!...

— Pewnie, że nie bardzo tym lutrom można ufać — dorzucił jeden z gospodarzy.

— Ba!... — zaraz wam coś o tem powiem — zawołał drugi. — Wczoraj orzę sobie nade drogą, a tu jakiś człek wozem jedzie. Pochwalił Boga, odpowiedziałem, jak się patrzy, a on, że to szkapy miał zmaczane, więc przystanął nieco i zaczął gawędzić... Gadamy tedy o tem, co wszyscy opowiadają, że Komitet w Poznaniu za królewskim pozwoleniem wojsko polskie zbiera, rekruta i broń ściaga, i że może przecie będzie lepiej... A on wreszcie mówi:

— A wiecie, że landraty *) kolonistów szwabów na Polaków jurzą i broń im dają i tu i owdzie już do wrogich zwad przyszło.

*) Naczelnicy powiatów.

I na odjeździe to samo mi powiedział:

— Nie tym psiajuhom szwabom ufać nie można, bo zawsze na krzywdę polską dybią.

— Bo i prawda!—ozwały się liczne głosy.

— A przecież w Mieścisku w Palmową niedzielę, w samo nabożeństwo, dragoni pruscy strzelali do niewinnych ludzi i zabili bab kilka i sołtysa. Szczęściem, że ludzie w dzwony w kościele uderzyli, zbiegli się chłopci i rzucili się na prusactwo. Dopiero ci w nogi, ale nasi ich tam nieźle poturbowali — opowiadał jeden z chłopów.

— Prusak tylko wtedy coś dobrego zrobi, jak w skórę tego dostanie — zaczął stary Mocarek.— Mój Boże!—gdym to jeszcze pod cesarzem Napoleonem służył, to dopiero brali oni tęgie wały od nas... Cesarz nie cierpiał tego tałajstwa i bił ich mocno, a prusactwo uciekało przed nami, jak kuropatwy przed jastrzębiem.

— Ileśmy to razy ich bili... braliśmy tysiące niewolników, chorągwie, armaty... Ba, żeby teraz cesarz żył, prędkoby z nimi zrobił porządek...

Tu stary westchnął i zamyślił się smutnie.

— Mówią, że naczelnik Mierosławski tegi wo-

jak i da sobie radę ze szwabami! — wtrącił któryś z chłopów.

— Daj Boże! daj Boże!... Ale nie bardzo mi się to widzi, bo sił wielkich niema, a szwabcy wojska mają moc!... Co innego było wtedy... Cesarz miał wojsko najlepsze na świecie i nikt mu się nie oparł... Co chciał to robił ze wszystkimi, i wtedy dobrze było.

I znowu stary zamyślił się smutnie...

W tej chwili ozwały się dzwony kościelne.

— Dzwonią na nieszpór... Chodźmy do kościoła! Podnieśli się z ław i wyszli wszyscy z zagrody.



I na odjezdne to samo mi powiedział:

— Nic tym psiajuchom szwabom ufać nie można, bo zawsze na krzywdę polską dybią.

— Bo i prawda!—ozwały się liczne głosy.

— A przecież w Mieścisku w Palmową niedzielę, w samo nabożeństwo, dragoni pruscy strzelali do niewinnych ludzi i zabili bab kilka i sołtysa. Szczęściem, że ludzie w dzwony w kościele uderzyli, zbiegli się chłopi i rzucili się na prusactwo. Dopiero ci w nogi, ale nasi ich tam nieźle poturbowali — opowiadał jeden z chłopów.

— Prusak tylko wtedy coś dobrego robi, jak w skórę tego dostanie — zaczął stary Mocarek.— Mój Boże!—gdym to jeszcze pod cesarzem Napoleonem służył, to dopiero brali oni tęgie wały od nas... Cesarz nie cierpiał tego tałalajstwa i bił ich mocno, a prusactwo uciekało przed nami, jak kuropatwy przed jastrzębiem.

— Ileśmy to razy ich bili... braliśmy tysiące niewolników, chorągwie, armaty... Ba, żeby teraz cesarz żył, prędkoby z nimi zrobił porządek...

Tu stary westchnął i zamyślił się smutnie.

— Mówią, że naczelnik Microślawski tęgi wo-

jak i da sobie radę ze szwabami! — wtrącił któryś z chłopów.

— Daj Boże! daj Boże!... Ale nie bardzo mi się to widzi, bo sił wielkich niema, a szwaby wojska mają moc!... Co innego było wtedy... Cesarz miał wojsko najlepsze na świecie i nikt mu się nie oparł... Co chciał to robił ze wszystkimi, i wtedy dobrze było.

I znowu stary zamyślił się smutnie...

W tej chwili ozwały się dzwony kościelne.

— Dzwonią na nieszpór... Chodźmy do kościoła! Podnieśli się z ław i wyszli wszyscy z zagrody.



II.

Pruscy husarzy.

Nie uszli jeszcze gospodarze dwudziestu kroków, gdy nagle na drodze rozległ się tętent...

Obejrzeni się po za siebie i ten i ów szepnął:

— Czy to czasem nie Prusacy?

A tętent rośł wciąż w siłę, i wreszcie na zakręcie drogi ukazało się kilkunastu pruskich huzarów pędzących cwałem.

— Prusacy, Prusacy! — odezwały się trwożnie głosy.

— Rozstąpić się i iść zwolna! — rzekł stary Mocarek.

Gromadka rozsypała się i chłopci po dwóch, trzech szli wolno ku kościołowi, przed którym już zbierali się ludzie.

Tymczasem Prusacy zwolnili nieco biegu, a jednocześnie w ich szeregach ozwała się jakaś komenda.

Rozległ się szczeł i naraz wrękach huzarów błysnęły szable.

Zabrzmiała znowu komenda i w okamgnieniu cały oddział runął cwałem na chłopów.

Większość z nich zdołała odskoczyć w bok, ale niektórym czasu na to brakło i husarzy wpadli na nich z szablami i zraniwszy kilku — pobiegli pędem dalej przez całą wieś, rąbiąc i tratując bezbronných.

Baby i dzieci krzyczały i płakały w niebogłosy, w kościele uderzono w dzwony, a ranni leżeli tu i owdzie na drodze, polewając obficie polską krwią tę rodzimą polską ziemię.

Wnet zaczęto ich zbierać i do chat przenosić, wśród niemilkających żłorzeczeń i zawodzeń.

Walenty Mocarek w chwili ataku huzarów, rzucał się w bok i starego ojca na stronę odciągnął, ale jego samego za to ciał huzar szablą w lewą ramię.

Nieszczęsny chłop padł na ziemię, jęcząc z bólu, a rana krwawiła mu się mocno, barwiąc jaskrawą purpurą koszulę i sukmanę.

— Chłopcy, prędzej! prędzej! — bierzcie ojca do chaty! — wołał stary Mocarek na dwóch swoich wnuków, szesnastoletniego Wojtusia i o rok młodszego Walka.

We trzech z dziadkiem unieśli rannego i dzwigali go zwolna do chaty.

Ale na spotkanie ich wybiegła Walentowa i ujrzawszy rannego męża, poczęła szlochać i zawodzić.

— O, mój Walusiu! — poraniły cię te szwaby, ty biedaku, ty chudziaku! A cóż ty im zawinił?.. Za co cię tak pokaleczyły?.. O dolo moja nieszczęsna!... Ażeby tych psów szwabskich mór podusił!

I zanosiła się od płaczu, a młodsze dzieci widząc bladego i pokrwawionego ojca — również płakać poczęły.

— No, no! uspokój się!... Nie jest on ciężko ranny — mówił stary Mocarek do synowej — w izbie go opatrzę i mam nadzieję, że rychło się wyliże... Widziałem ja nieraz daleko ciężiej rannych, a przecież do zdrowia powrócili.

Gdy Walentego wniesiono do chaty, stary Maciej zdjął mu sukmanę i koszulę i starannie obejrzał ranę.

— A co, nie mówiłem? — zwrócił się do synowej — za jakieś dwa, trzy tygodnie zdrów będzie jak ryba... Dajno teraz wody ciepłej i czystych lnianych szmat.

W parę chwil później, ranny opatrzony już był porządnie i leżał spokojnie na łóżku, jęcząc jeno z cicha.

— Nic to, nic, synku! — rzekł pieśczośliwie stary Mocarek — boleć cię musi, boć to żywe ciało otwarte, ale rana niedługo powinna się zagoić...

Pogłodził syna po głowie i wyszedł zwolna przed chatę...

Słońce zniżało się ku zachodowi, ale ciepło jeszcze było, więc stary Mocarek usiadł na przyźbie i powoli fajeczkę napychał. Zapalił ją wreszcie uważnie i pociągnął z lubością dym, aż nagle coś sobie przypomniał i zakrzyknął:

— Wojtuś, Walek, a chodźcie no tu do mnie!...

Chłopcy przybiegli, a stary tak mówił:

Zjednoczenia P.
Radom

— Nie frasujcie się ojcem, za parę niedziel zdrów zupełnie będzie. Szczęściem, że go nieszkodliwie ten Prusak zaciął!... A biegnij no który do matki i proś, żeby ojca w spokoju zostawiła... Beki i płacze nic nie pomogą i tylko rannego drażnią...

Walek skoczył i w chwil parę powrócił, mówiąc:

— Tatulo spokojnie leżą, a matula z Zośką, Marysią i Frankiem idą do kościoła na Anioł Pański.

— O tak — to dobrze... i palił dalej fajeczkę.

— Dziaduniu, to dopiero podle te Prusaki... Żeby tak na spokojnych ludzi wpaść i rąbać... Nic im przecież tatulo nie zrobił? — rzekł Walek.

— Mój chłopcze, na całym świecie ludzie wiedzą, że to łotrowski naród. Oj, napatrzyłem się ja różnych ich sztuczek, kiedym z cesarzem Napolionem wojował! — mówił stary, puszczając ogromny kłęb dymu.

— Opowiedzcie, dziaduniu, opowiedzcie! — zaczęli prosić chłopcy.

— Ano dobrze, opowiem wam, abyście wiedzieli, że i dawniej Prusacy też galgany byli. Czterdzieści z górą lat temu, cesarz Napolion prowadził wojnę z Pru-

sakami, zdobył stolicę ich Berlin... Oj, zadał im wtedy pieprzu, zadał!.. Na drugi rok wojska cesarskie gromadziły się powoli daleko stąd, hen, z tamtej strony Wisły, gdzieś w okolicach dużego miasta Królewca.

Raz, wieczorem, wysłali kilkunastu nas szwoleżarów na patrol.

Porucznik nami dowodził i mieliśmy przekonać się, czy gdzie blisko niema Prusaków. W zimie to było, tak jakoś w końcu stycznia, czy w pierwszych dniach lutego, mróz tegi, a na niebie gwiazdy tak jasno migoczą... i miesiąc jak ze srebra.

Jedziemy tak z dobrą godzinę, albo i więcej i nic, żywego ducha nigdzie... Czasem tylko, gdy przez jaką wieś przejeżdżamy, pies zaszczeka, ale w chałupach ciemno — ludzie boją się nosa wychylić...

A lud tam pocziwy, Żmudziny czy tam Litwiny, spokojne to, ciche, ale i tchórzliwe, bo tegiej pięści pruskiej zwyczajne...

Słyszę porucznik mówi do wachmistrza:

— Wracajmy chyba!...

I już kazał nam zawrócić, gdy nagle wachmistrz zawołał:

— Panie poruczniku, tam się pali!...

Spójrzymy wszyscy — a o małe pół mili coś się

czerwienią rozlewa po niebie... Luna—ani chybi—więc porucznik mówi:

— Broń opatrzyć... a potem zaraz: rysią!...

Ruszyliśmy kłusem i w kilka pacierzy byliśmy już pode wsią. Stamtąd słycać już było wyraźnie gwar i krzyki.

— Oho!... coś tam niedobrego — pomyślałem sobie. — I zaraz prawie wjechaliśmy kłusem do wsi. A wiecie, co tam było? Ze trzydziestu pruskich dragonów gospodarowało sobie w najlepsze we wsi, podpalili parę chałup, kilku biednych chłopów zabili i rabowali co mogli, odzież, pierzyny, kury, gęsi i cielęta. Ale skoro tylko nasz porucznik zobaczył to wszystko— a widno było od pożaru, jak w południe, zaraz krzyknął na nas:

— Chłopczy! a bierzcie się do tych psubratów!... Tedy my na tych dragonów i nie wiele z nimi mieliśmy roboty, bo to dobre są do rabunku, a nie do bitwy.

Ale złość nas ogarnęła na tych rabusiów, co na spokojną wieś napadli, więc wyrabialiśmy wszystkich szablami, a tylko trzech czy czterech wzięliśmy żywcem... Hej, dobre to czasy byli!...



Wjazd tryumfalny Francuzów do Berlina po zwycięskiej wojnie w roku 1806.

I stary pociągnął fajeczkę i rzekł po chwili:

— W parę dni później, cesarz bitwę ruskim i prusakom wydał pod pruską Iłową *). Wielka to była bitwa i nie jeden z naszych tam poległ, aleśmy Prusakom tego skórę spisali...

*) Pod Eylau w lutym 1807 r.

III.

Odgłosy z pod Książa.

W końcu tygodnia ranny Mocarek miał się znacznie lepiej; chciał nawet już z łóżka wstawać, ale stary nie pozwolił.

— Zawczesnie wstaniesz, to później drugie tyle odleżysz. Pocierp jeszcze! — mówił.

— Tatulu, przecież trza siać.

— Będzie na to czas... Zresztą Mateusz obiecał zasiać ci owies jeszcze w tym tygodniu.

— A mówił mi... Poczciwy z niego brat. Ale też za Pana Jezusową łaską, piękną pogodę ludzie na siwy mają.

Rzeczywiście wiosna była niezwykle ciepła i pogodna.

Dni szły jasne, słoneczne, a tak jak w lecie rozgrzane i coraz dłuższe...

Na polach jaskrawo zieleniły się oziminy, tu i owdzie wschodziły jasną, rzadką jeszcze, jakby nieśmiałą zielenią wcześniejsze owsy i jęczmiona, porudziały z zimy łąki nabierały coraz jaśniejszej barwy, i złocili się już na nich kaczeńce i bielili co wcześniejsze kwiatki.

Drzewa pośpiesznie okrywały się jasnymi, młodymi listeczkami, a poważne iglaste bory szumiały radośnie w podmuchach ciepłego, wiosennego wietrzyku.

W przeczystym błękitie niebios,—jakby pławiąc się w złotych promieniach słońca—wisiały nieruchomo skowronki i dzwoniły swe tak miłe dla polskiego rolnika piosnki, poważne bociany brodziły na łąkach, lub też klekotały, siedząc na starych gniazdach i poprawiając je, w powietrzu śmigaly zwrotne a szybkie pierwsze jaskółki i brzęczały pszczoły, dążące do pierwszego wiosennego kwiecia po pierwszy miód.

A wieczorami, gdy na zachodzie gasły powoli zo-

rze wieczorne i wśród złotych i purpurowych blasków wyciągały się na pogodnym niebie długie fioletowe lub złote obłoczki, a od wschodu szedł coraz większy cień, żaby obudzone na Ś-go Wojciecha z zimowego snu — rechotały rozgłośnie a wesoło...

Ale w nieszczęsnej Wielkopolsce ta cudna wiosna przynosiła coraz więcej trosk i obaw, Prusacy z każdym dniem rośli w siłę i w butę i ludziska słyszeli prawie same niepomyślne wieści.

— Tu wieś spalili—tam trzech bez sądu rozstrzelali... Tu wojska duże gromadzą.

W Wojnowicach od czasu niedzielnego napadu, cicho było i tylko którejs nocy przebiegł klusem przez wieś patrol dragoński, ale na szczęście nie zatrzymał się wcale.

W sobotę dnia 29 kwietnia około południa, gdy ludzie powracali z pola na obiad, od strony Książa dały się słyszeć jakby tępe przytłumione stukania, czy uderzenia.

— Co to?—pytali się jeden drugiego, aż wreszcie któryś domyślniejszy zawołał:

— To armaty!... Biją się nasi z Prusakami.

— Dziadziu, pod Książem podobno bitwa. Armaty słychać!... — zawołał Walek, wpadając do izby.

Stary pośpiesznie wyszedł z chaty i stanąwszy na podwórku—ogarnął ucho dłonią i począł nasłuchiwać uważnie.

— Tak, to armaty!... — mruknął. — Daj, Panie Boże, zwycięstwo naszym!...

I przez cały dzień chodził posępny i zamyślony, nasłuchując dalekich odgłosów walki i szepcząc pobożnie:

— Matko Boska Częstochowska! Pomagaj naszym! Nie opuszczaj nas!...

Ale około piątej po południu, strzały armatnie umilkły i starego poczęła dręczyć niepewność co do wyników bitwy.

Kręcił się też niespokojnie do samego wieczora, i wychodził na drogę pytać przejezdnych, nikt jednak nie mógł mu dać pewnej odpowiedzi.

I dopiero przed samym wieczorem jakiś chłop powiedział mu, że podobno oddział polski rozbity i Książ spalony.

— Widzieliście pożar? — pytał żywo.

— Sam nie widziałem, mówiłem z takim, który widział zdaleka, — odparł chłop.

— Tak, Prusacy muszą być górą, boć tylko te psy mogą miasto podpalić, — mruknął smutnie.

— A pewnie.—Opowiadają ludzie, że teraz szwaby na Miłosław pójda — dorzucił chłop i pochwaliwszy Boga, pojechał dalej.

A stary wrócił do chaty milczący i smutny, jak grób.

Zjeńczenie Polek
Radom



IV.

Ranny ułan.

Na zachodzie gorzały jeszcze jaskrawą purpurą resztki wspaniałej zorzy wieczornej i mrok zapadał powoli, a na jasnym przeczystem niebie zaczynały połyskiwać tu i owdzie złote płomyki coraz jaśniejszych gwiazd.

W całej wsi świeciły się już w chatach ognie i ludzie zabierali się do wieczery.

U Mocarków cała rodzina obsiadła w około długi stół i gwarząc, spożywała posiłek wieczorny.

— Tatulu! — ozwał się Walek, — tęgie strzały słychać dziś było od Książa... To dopiero musiała tam być duża bitwa.

— Ba!... cóż kiedy mówią, że szwabys pobily naszych zupełnie — odparł smutnie Mocarek.

— Ażebys tych podilych szwabów Pan Jezus ciężko skarał za nasze krzywdy, — szepnęła Mocarkowa.

— O!.. Burek tak ujada... i coś jakby do wrót stukało... Polecę zobaczyć! — zawołał nagle Wojtuś.

Wybiegł z izby i w parę chwil powrócił, wołając:

— Dziadku!... — tam przed wrotami stoi dwóch ludzi. Mówią, że są z naszego wojska z pod Książa... i że jeden jest ranny...

Stary Maciej rzucił łyżkę i wraz z Wojtusiem śpiesznie wyszedł z chaty, a za nimi skoczył też i Walek.

Podbiegli wszyscy do wrót i pomimo gęstniejącego coraz bardziej mroku, dojrzeli za wrotami dwóch ludzi, w wysokich ułańskich furażerkach.

— Wpuście nas, gospodarzu! — zaczął mówić jeden z nich, — rannego porucznika prowadzę i chciałbym go gdzieś pod dachem na noc pomieścić...

— Toście z pod Książa?... — pytał Maciej.

— Tak jest, gospodarzu!... Dziś rano chmara szwabów napadła na nas... Broniliśmy się z całych sił, ale

cóż, kiedy na każdego z naszych było z ośmiu, albo i więcej szwabów.... Wkońcu i zgnetli nas — mówił żołnierz.

Mocarek tymczasem otworzył wrota i obydwaj wojacy weszli na podwórze.

— Pić mi się chce... wody mi dajcie... proszę... — szepnął ranny, wsparty na ramieniu swego towarzysza.

— Zaraz moja synowa poda jegomości mleka albo wody... Leży już u nas w chacie jeden ranny, bo mi szwabcy syna w niedzielę napadli i pokaleczyli. Takie to psy...

I mówiąc to stary ujął porucznika pod drugie ramie i tak weszli do chaty.

Porucznik usiadł na ławie, a tymczasem uprzątnięto alkierz, zasłano łóżko czystą płachtą, i po chwili ranny leżał już wygodnie na posłaniu.

Mocarkowa napoiła go mlekiem, a żołnierz wraz ze starym Maciejem, obmył mu wodą ranę w głowie i przewiązał ją czystymi szmatami.

— No, panie poruczniku, spać teraz trzeba! — wyrzekł, poprawiając rannemu poduszki pod głowę.

Porucznik uśmiechnął się do mężnego swego towarzysza i przymknął oczy, a żołnierz na palcach wysunął się z alkierza.

— Może pan Jezus da, że zaśnie!... — szepnął w izbie.

— Zmorzył się chudziak, bo krew go uszła... — mruknął Maciej.

— Moiściewy, opowiedzieć nam o tej dzisiejszej bitwie — rzekł prosząco Wojtek.

— To chodźmy przed chałupę, bo tu jeszcze porucznika obudzimy — odparł żołnierz.

Mocarkowa zajęła się układaniem młodszych dzieci do snu, a żołnierz z Maciejem i dwoma jego wnukami wyszedł przed chatę i zasiadł na przyźbie.

Noc już zupełna zapadła i na zachodzie zaledwie migotał jeszcze nikły pasek zorzy wieczornej, a wspinały srebrny księżyc wytaczał się powoli na wschodnią część pogodnego nieba i siał jasne swe blaski dokoła.

— Dawnoście już w wojsku? — zagadnął pierwszy Maciej.

— Ho, ho!... Siedemnaście lat temu już się pa-

łasza w garści trzymało i na wroga gnało! — odparł żołnierz z uśmiechem.

— Tośmy koledzy po fachu, tylko że ja jeszcze z pod cesarza Napoliona. Ale widzę, żeście dzieciuchem wojackę rozpoczęli? — pytał dalej Maciej.

— A no, dziewiętnasty rok miałem, kiedy z paniczem moim, tym dzisiejszym porucznikiem, przystaliśmy w 1831 roku do powstania. I we wszystkich prawie bitwach byliśmy, aż gdy powstanie rozbite już było, przemknęliśmy się za granicę, aby uniknąć katorgi i Sybiru — i panicz dzierżawę sobie wziął, tam hen, po Chelnożą, a ja przy nim zostałem i pomagam mu jak mogę.

— A jak się nazywa porucznik? — rzucił nagle pytanie Walek.

— Bolesław Żarowski, a mnie nazywają Franciszkiem Paczeńskim — odparł żołnierz i ciągnął dalej:

— Takeśmy sobie wcale nieźle przez kilkanaście lat na tej dzierżawie gospodarzyli, aż tu niedawno rozeszła się pogłoska, że trzeba szwabów walić... Przypasaliśmy zaraz tedy stare nasze szable jeszcze z pod Grochowa i Stoczek i hajda! na koń... Ale cóż, kiedy

dziś rano zwała się pod Książ ogromna hurma Prusaków, piechoty, konnicy i artylerji...

— Jaki więc było z tą dzisiejszą bitwą? Powiadajcie wszystko od początku, bom tych rzeczy bardzo ciekawy... — przerwał Maciej.

— Ano cóż?... Było nas w Książu pod panem Florianem Dąbrowskim nie więcej nad siedmiuset ludzi, i od tygodnia już spodziewaliśmy się lada dzień napadu Prusaków. We wtorek gruchnęła po Książu pogłoska, że Prusacy wysłali szpiegów, żeby miasteczko podpalili.

Pan Dąbrowski zarządził poszukiwania i w rzeczy samej wykryto dwóch niepewnych ludzi, z których jeden miał w piwnicy sporo różnej broni i trzy baryłki prochu, a drugi ze dwadzieścia kordelasów.

Natychmiast zabrano tych dwóch pod straż, ale w parę godzin dowiedział się o tem pruski pułkownik, który niedaleko stał ze swoim obozem. Przysłał tedy trębacz, żeby jeńców uwolnić i groził, że inaczej na Książ napadnie.

Nie było już wątpliwości, że aresztowani są pruscy przyjaciele i chcieli nam szkodzić, więc pan Dąbrowski odpowiedział szwabom, że szpiegowie muszą

być oddani pod sąd, i że jeżeli sąd ich uniewinni, to dopiero wtedy odeszle ich pułkownikowi.

Sam też pchnął gońca do pana Gorczyńskiego o pomoc i ten przysłał nam osiemdziesięciu strzelców.

Zaczęliśmy gotować się do obrony i pan Dąbrowski pościagał do Księża ochotników z okolicznych wsi, ale na drugi dzień trzeba już było ich rozpuścić, bo żywności brakło. Dziś rano około 8-ej wyjechaliśmy z panem porucznikiem i kilkoma ułanami na zwiady i widzimy, że cały trakt od Śremu aż się roi od prusactwa.

Powróciliśmy do Księża i każdy stanął w gotowości do bitwy, a przed południem przyjechał do nas dragon pruski i oddał panu Dąbrowskiemu list swego pułkownika, który chciał, abyśmy poddali się im bez bitwy.

Ale pan Dąbrowski odpowiedział, że tego nie uczyni i będzie się bronił do upadłego.

Prusacy szli widać bardzo wolno, bo dopiero koło południa ich konnica ukazała się zdaleka i zaczęła okrążać Księż, aby nas odciąć od Nowego Miasta, gdzie stał pan Garczyński ze swoim oddziałem.

Wtedy pan Dąbrowski kazał nam ułanom pójść do ataku. Było nas tylko stu dwudziestu, ale nie chwając się, chłopcy i konie jak wybrane.

Wyjechaliśmy w ordynku i uszykowani do bitwy, patrzyliśmy na zbliżającą się konnicę pruską... Szła ona w rozsypce, najprzód stępa, a później ruszyła tęgim klusem.

Wtedy u nas zakomenderowano:

— Gotuj się! Lance do ataku! Marsz! Marsz!...

Poszliśmy cwałem, ale Prusacy wygarnęli do nas z karabinów i pistoletów.

Nie wiele nam to zaszkodziło, bo w pędzie trudno trafić, i tylko kilka naszych koni zlekło się strzałów i poniosło w bok.

Dopadliśmy wreszcie Prusaków i zaczęliśmy pracować, ale cóż kiedy było ich z tysiąc, a nas stu dwudziestu.

I musieliśmy się cofnąć przed siłą, a szwabstwo pognało za nami i dopiero nasi strzelcy powstrzymali ich w zapędzie.

Zaczęliśmy sprawiać szyki i pokazało się, że pozostała z nas mniejsza połowa. Poszliśmy drugi raz do ataku i choć werżnęliśmy się prawie w środek pru-

skiej konnicy — znowu tak nas ścisnęli, że trzeba było wracać.

Przez ten czas artylerya pruska biła w Książ od strony Śremu, a piechota pomagała jej i gęsto sypała kulami. Osiemdziesięciu naszych strzelców broniło kilku zasieków, którymi pan Dąbrowski kazał drogę przegrodzić i tak się tego trzymali, że trzy razy odbili zupełnie atak piechoty szwabskie.

Bitwa trwała już dobre trzy godziny, a Prusacy wciąż nie mogli dostać się do miasta i myśleliśmy, że dotrzemy do przybycia pana Garczyńskiego, aż tu nagle około 4-tej dały się słyszeć strzały w samem mieście.

Prusacy widać przez tyły dostali się pomiędzy domy i zaczęli sypać kulami na wszystkie strony. Pan Dąbrowski otrzymał już kilka ran i widziałem go, jak chwiał się na koniu, zlany krwią.

Wszelki opór był już daremny i Prusacy ukryci w domostwach, strzelali jak do celu do naszych kosynierów, stojących na rynku.

Tu i owdzie w mieście, Prusacy podpalili domy i pożar utrudniał jeszcze obronę. Garstka nas, ułanów, broniła się zdala, ale cóż tam pistolety nasze poradzić

mogły przeciwko karabinom... A pan Garczyński wciąż nie nadchodził.

I wtedy pan Dąbrowski wysłał trębacza do Prusaków i zawiadomił, że składa broń...

Prusacy zgodzili się, otrąbiono złożenie broni i staliśmy spokojnie, gdy nagle podłe psy pruskie rzuciły się na nas.

Zaczęła się poprostu rzeź, boć nikt z nas nie spodziewał się takiego zdradzieckiego napadu.

Pana porucznika postrzelił jakiś łotr z pistoletu, tak, że upadł i krwią broczył, a ja, widząc to, myślę sobie, że niema innego dla nas ratunku, tylko ucieczka. Porwałem więc pana porucznika, wsadziłem go na jakąś szkapę, bo nasze konie dawno już padły od pruskich kul, a sam wsiadłem z tyłu i ruszyłem co tchu w stronę Warty.

Szczęściem, że w tym zgielku i gwarze piekielnym nikt nas nie zauważył i tylko dwóch piechurów strzeliło do nas zdaleka, ale Pan Jezus kule gdzieś odegnał.

Przypadliśmy nad Wartę i jedziemy nad samym brzegiem, a ja upatruję miejsca, aby się na tę stronę przeprawić, aż widzę, czółenko kołysze się uwiązane

do wierzby. Puściłem więc szkapę, a sam pana porucznika do czołna wprowadziłem i zaczęliśmy płynąć powoli.

Dobłą godzinę temu, albo i więcej, wysiedliśmy tu zaraz niedaleko od tej wsi i schowaliśmy się w krzakach, boć lepiej teraz dla nas, ułanów polskich, nie pokazywać się za dnia.

Przewiązałem, jak mogłem, pana porucznika i de-liberuję co dalej robić...

Urwał nagle i słuchał uważnie przez chwilę, poczem rzekł:

— Ktoś jedzie konno i jest już niedaleko.

— A to zobaczymy go zaraz, bo tędy będzie musiał jechać — odrzekł stary Maciej, wskazując na ciągnącą się tuż przed obejściem drogę.

Tymczasem tętent zbliżał się coraz bardziej i nagle przed samymi wrotami przejechał klusa na roslým karym koniu, jakiś żołnierz w wysokim czaku z pióropuszem.

— Patrzcie, patrzcie! — szeptał Paczeński, ścisnąjąc Mocarka za rękę — to huzar pruski... pewnie jeden z tych, którzy dziś pod Księżem byli.

— Gońmy go! — zawołał nagle Wojtek.

— Et, bajesz!... przecież napewno za nim zaraz będzie szła cała hurma prusactwa... — mruknął Walek.

— El co to, to nie! — wtrącił Paczeński. — Gdyby ich więcej było, toby albo razem wszyscy szli, albo zaraz o kilkanaście kroków za pierwszym. A tu cicho i żadnego innego tętentu nie słyhać... Ten huzar pewnie wysłany jest, jako sztafeta i listy wiezie, a takiego dobrzeby złapać...

— I mnie się też zdaje. Ho, ho, ile to razy ja tak jeździłem — dodał stary Maciej.

— To gońmy go! — zakrzyknął po raz wtóry Wojtek, zrywając się z ławy.

— Ba, ale na czym? — odparł żołnierz.

— A na koniach... Dziadku, pozwólcie dla pana żołnierza naszej kobyły, a ja skoczę do stryja Mateczka po konia dla siebie...

— Hm, albow ja wiem? — mruknął stary.

Ale Paczeński zaczął go nagle prosić, aby Wojtkowi nie stawiał przeszkód.

— Pojedziemy we dwóch i złapiemy tego pru-

saka. Może on tam jakie ważne rozkazy przeciwko naszemu wiezie, to dobrze by temu przeszkodzić — mówił gorąco.

— Nie dogonicie go już... broni nie macie, porani was, albo i zabije którego — upierał się trochę Maciej.

— Nic nam nie zrobi. Mam przecież szablę u boku, a Wojtek weźmie szablę porucznika. I nie damy się przecież jednemu, prawda, chłopcze?... No, Wojtuś, leć do stryja po konia, a wy gospodarzu, musicie mi już pożyczyć waszego siwka. Całą i zdrową szkapę odprowadzę wam, nie bójcie się!...

Wojtek wypadł za wrota, a stary, rozgrzany już nieco, rzekł:

— A jedźcie i złapcie tego psubrata... zawsze to o jednego będzie mniej!...

I poszedł zaraz z Paczeńskim i Walkiem do stajni.

Nie upłynęło i trzech pacierzy, gdy Wojtek zjawił się konno przed obejściem.

Paczeński przypasał mu szablę porucznika, sam

wskoczył na klacz i pożegnawszy Macieja i Walka słowami:

— „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ ruszyli obaj klusa.



V.

P o g o ń.

Przebiegli przez całą wieś, uśpioną już prawie zupełnie i wydostawszy się na pole, — puscili się cwałem...

Paczeński, jako polski ułan, wybornie konno jeździł, a Wojtuś od małego był konia zwyczajny, więc chociaż mieli wierzchowce bez kulbak i strzemion, sadzili na nich śmiało.

Ujechali tak może z ćwierć mili, bacznie patrząc przed siebie na oświetloną księżycem długą białą drogę, aż nagle Wojtuś zakrzyknął:

— O, jedzie tam! jedzie!..

Jakoś w odległości trzystu może kroków, widać było jadącego klusem żołnierza.

Na chwilę skryła go kępka drzew przydrożnych, ale minął ją rychło i pędził dalej środkiem drogi.

— Nie powinien już teraz nam ujść! — zawołał Paczeński.—Wojtuś! gnajmy co tchu w szkapach!...

Ścisnęli konie piętami i poczęli je zachęcać głosem do coraz szybszego biegu.

Po chwili zbliżyli się już znacznie do Prusaka, ale ten usłyszał widać tętent, bo obejrzał się i wnet ruszył w skok.

Paczeński i Wojtuś nie ustawali w gonitwie i choć zrazu Prusak odsadził się był nieco od nich, po chwili jednak przestrzeń pomiędzy nim a goniącymi, zaczęła się zmniejszać powoli...

— Mamy go, mamy!... — krzyczał Wojtuś radośnie.

— Nasze konie są świeższe, a jego już zmachany być musi, skoro z Książa jedzie...— odparł Paczeński, i znowu począł popędzać swoją klacz.

Potężny tętent rozlegał się teraz jak grzmot pośród cichych pustyń pól, konie chrapały już z wielkie-

go wysiłku, a gęsta biała piana, pieniała się na ich bokach.

Ale byli już coraz bliżej... o sto, pięćdziesiąt kroków. Wtedy Prusak ściągnął z pleców karabinek i począł wstrzymywać swego wierzchowca.

Ale nie zdążył już strzelić, bo zanim nawet konia powstrzymać zdołał, Paczeński już runął na niego z wydobytą szablą.

Zakotłowało się na drodze, rozległ się przeraźliwy krzyk i nagle Prusak zwałił się z konia.

— Wojtuś, łap jego konia! — zawołał Paczeński, zeskakując na ziemię.

Przypadł do huzara i zanim ten opamiętać się zdołał, już skrępował mu mocno ręce własnym jego pasem od ładownicy.

— No, mamy go wreszcie! — rzekł Paczeński — zobaczmyż teraz, co on wiezie...

Rozpiął jeńcowi mundur i zaraz wypadła na ziemię dość gruba paczka, owinięta w papier.

— Tak, to są listy! — mówił dalej Paczeński, wydobywając z papierów kilka kopert. — Ale choć czytać umiem i widno jest jak w dzień — nic rozeznąć nie mogę...

— Ba! po szwabsku pisane — odrzekł Wojtuś.

— Otóż właśnie... Trzeba to zabrać i schować — ciągnął dalej Paczeński, i owinąwszy napowrót listy w papier, wsunął je sobie w zanadrze.

— O, jak to dycha! — mówił Wojtuś, wskazując na jeńca.

— Nie mu nie będzie!... Ciąłem go przez głowę, ale przez grubą czapę, nie wiele mu złego zrobiłem. Zamoczyło go i tyle...

— Co my z nim pocniemy? — zagadnął Wojtuś.

— Alboż ja wiem?... Do Wojnowic go przecież nie zabierzemy chyba, co?

— A gdyby go tak zawieść do Miłosławia do naczelnika Mierosławskiego?

— A to łebski chłopak z ciebie. Najlepiej tak będzie... Ale jak to daleko stąd do Miłosławia?

— Nie będzie nad półtrzeciej mili... drogę znam dobrze...

— To zaraz pojedziemy... Oho! szwab już oczy otwiera i coś mamrocze. Wsadzimy go na konia i poprowadzimy do Miłosławia.

W parę chwil później, Paczewski i Wojtuś je-

chali wolno drogą, prowadząc za uzdę konia, na którym siedział skrzepowany jezdziec.

Cisza ogromna spowijała świat cały, lasy, pola i wioski leżały uśpione głęboko i czuwał tylko wielki jasny miesiąc i sunął powoli po przezczystem sklepieniu niebios, siejąc dokoła promienne swe blaski.

VI.

U Mierostawskiego.

Na wschodzie niebo jaśniało powoli i świat cały napełniał się szarawem światłem brzasku, gdy Paczeński i Wojtuś dojeżdżali ze schwytanym pruskim huzarem do Miłosławia.

Kiwali się trochę na koniach ze zmęczenia i ziewali rozgłośnie, aż wreszcie Wojtuś zawołał:

— Jak się kropnę spać w Miłosławiu, to nie wstańę chyba, aż jutro rano...

— Oj! wyspać się... wyspać... Wczoraj bitwa i tułaczka z rannym porucznikiem przez cały dzień, a teraz znowu człek się tłucze całą noc na szka-

pie... Ooo! jak mi się ta gęba drze! — odparł Paczeński.

I ziewał tak głośno, że go chyba w miasteczku było słychać.

— Jedźmy no trochę prędzej — dodał po chwili.

Popędzili konie, ale nie ujechali i stu kroków, gdy wtem z kępy drzew rozległ się trzask odwodzonych kurków i okrzyk:

— Stój!... Kto jedzie?...

— Swoi, swoi... do pana naczelnika Mierosławskiego wieziemy hnzara pruskiego, który z listami jechał...

— Zaraz, zaraz!

I na drogę wyszło trzech strzelców polskich.

— Ha! toście tego ptaka ułapili! — zawołał jeden z nich, przyglądając się jeńcowi. No to jedźcie co prędzej z nim do naczelnika...

— Ostawajcie z Bogiem! — rzekł Paczeński, zacinając konia.

Ruszyli klusem i minawszy jeszcze kilka pikiet, które równie łatwo ich przepuścili, wjechali nareszcie do miasteczka.

Cicho tam było i spokojnie, znać jeszcze spali wszyscy, i tylko gdzieś tam stał strzelec lub kosynier na warcie.

— Hej! a gdzie to kwatera pana naczelnika? — zapytał Paczeński jakiegoś tęgiego kosyniera.

— Jedźcie prosto, a później na prawo do dworu... A kogóż to wieziecie?... — pytał ciekawie kosynier.

Ale Paczeński nie tracił już czasu na gawędy i pojechali śpiesznie dalej, do dworu.

I tutaj stały warty, które zrazu nie chciały wcale słyszeć o tem, że trzeba naczelnika budzić i przyjezdnych mu oznajmić, ale Paczeński tak nalegał, że wreszcie jeden ze strzelców poszedł do komnat.

Paczeński i Wojtuś zsiadli z koni, zsadzili na ziemię Prusaka, a w parę pacierzy później, nadbiegł strzelec wołając:

— Chodźcie! chodźcie!... Pan Naczelnik czeka na was!...

— Idziemy!... — odparli śpiesznie Paczeński i Wojtuś.

Ujęli jeńca pod ręce i przez dużą, mroczną nieco

sień dworu, weszli do obszernej komnaty, słabo oświetlonej dwoma woskowemi świecami.

W komnacie tej za stołem, zarzuconym mapami i różnemi papierami, siedział nawpół ubrany, dość tęgi, jasnowłosy mężczyzna. Snać tylko co wyrwano go ze smacznego snu, bo przecierał ręką oczy, odpędzając resztki senności.

Był to naczelný wódz polskich sił zbrojnych w Wielkopolsce, generał Ludwik Mierosławski.

— No, witajcie mi! — zawołał do wchodzących. — Toście tego tu Prusaka mi dostarczyli? A gdzieście go wzięli?...

Paczeński opowiedział w kilku słowach o schwytaniu jeńca i dodał, że głównie za radą Wojtusia puścili się w pogoń za huzarem.

— Dzielny chłopak z ciebie!... i dobry Polak razem! — rzekł Mierosławski do Wojtusia.

Chłopiec spłonął cały z radości i dumy, a Paczeński wydobyl z zanadrza odebranych Prusakowi pęk listów i oddał go naczelnikowi.

— Tośmy przy naszym jeńcu znaleźli...

— Aha!... Czekajcie no...

I Mierosławski rzuciwszy okiem na adresy tych

listów, szybko rozłamał pieczęcie i poczał pośpiesznie czytać.

— O, to dobrze!... to doskonale!... mówił Naczelnik. — Toście tam widzę nie dali się tak odrazu pobić pod Książem, skoro generał Brandt pisze do Blumeną, że ciężkie straty poniósł... Hej! — bywaj-no tu!

Do komnaty wpadł żołnierz i stanął wyprostowany w progu, a Mierosławski nie odrywając oczu od listów, rozkazywał pośpiesznie:

— Biegnij-no co prędzej do panów oficerów, którzy we dworze mieszkają i proś ich, by zaraz tu do mnie przyszli.

Żołnierz wybiegł, a w parę chwil później zaczęli się schodzić oficerowie.

— Mości panowie—dobra nasza. Mam oto przejęte listy Brandta, który takie ciągi pod Książem wczoraj dostał, że się ruszyć nie może i zawiadamia o tem Blumeną. Dziś tedy tylko z Blumenem będziemy mieli robotę. Mości panowie, ludzi budzić, niech co żywo śniadanie jedzą i do bitwy się sposobią. A proszę pamiętać o wszystkich wczorajszych moich dyspozycjach.

Oficerowie skłonili się i wyszli, Mierosławski zaś

wypytywał się jeszcze o coś jeńca po niemiecku, poczem polecił żołnierzom wyprowadzić go z komnaty i zwrócił się do Paczeńskiego i Wojtusia.

— Moi drodzy, raz jeszcze dziękuję wam serdecznie za te listy zdobyte. Idźcie teraz i prześpijcie się tu gdzie w oficynie, a po bitwie pomówię jeszcze z wami.

VII.

Pod Miłosławiem.

Huk pierwszego wystrzału armatniego przebudził Paczeńskiego i Wojtusia.

— Ho! ho! mój chłoptze, to już bitwa się zaczyna... Niema co, chodźmy do naszych!—mówił Paczeński, przecierając oczy.

Wyszli przed oficynę, ale na podwórzu nikogo nie było i tylko jakaś stara babina zawodziła płaczliwie pod murem.

— Bitwa... bitwa... O, mój Jezu kochany, zmiłuj się nad nami!...

Teraz działa były coraz potężniej, a i piechota

musiała też już rozpocząć walkę, bo słychać było gęste grzechotanie karabinów...

— Co my zrobimy? — pytał Wojtuś, nasłuchując odgłosów bitwy.

— A cóż? ja wsiądę na konia i przyłączę się do jazdy naczelnika. Muszę przecież szwabom za wczorajsze odplacić! A ty zostań się tutaj, albo jedź sobie za miasto.

— Panie żołnierzu kochany, weźciez i mnie ze sobą... Może i ja się tam na co przydam.

— Hm!—dzieciuch jeszcze z ciebie... A bitwa to nie pogoń na gościńcu... Aleś dobry chłopiec, że chcesz naszej polskiej ziemi bronić... Machaj tylko szablą z góry i wal przez łeb tych Prusaków... No, dawaj gęby, bo podobasz mi się coraz bardziej, i hajda na konia!

Uściskał chłopca i ruszyli obaj do stajni, a w parę chwil później pędzili klusa ku bitwie.

Naczelnik Mierosławski, uszykowawszy wojsko do bitwy, spokojnie oczekiwał nieprzyjaciela, który zwolna posuwał się od Winnej Góry w stronę Miłosławia.

Prusacy szli umyślnie wolno, bo nie wiedząc o stratach Brandta, czekali wciąż na jego przybycie z posiłkami, więc też dopiero około 8-ej rano przebyli

Winną Górę i zaczęli formować się do bitwy szerokim bardzo frontem, na północny zachód od Miłosławia.

Chcąc jednak zyskać na czasie, nie rozpoczęli jeszcze bitwy i wódz ich—jenerał Blumen, wysłał do Mierosławskiego parlamentarza, zapraszając go na rozmowę.

Mierosławski zgodził się chętnie, bo sam wyglądał również niecierpliwie posiłków Garczyńskiego z Nowego Miasta i Białoskórskiego z Pleszewa, i każda zwłoka była dlań pożądaną.

Zjechali się tedy obydwaj wodzowie na mostku, na rzeczce, ale nie mogli dojść do porozumienia, bo hardy Prusak stawiał niemożliwe do przyjęcia żądania.

Powrócili tedy każdy do swego wojska i przed samą dziewiątą Prusacy pierwsi rozpoczęli bitwę kanonadą armatnią. I wnet też widoczną się stała przewaga Prusaków.

Kilkunastu działom pruskim Mierosławski mógł przeciwstawić zaledwie cztery małe armatki, a przeszło pięciu tysiącom wrogów—około tysiąca stu żołnierzy.

Siły bowiem polskie zgromadzone pod Miłosła-

wiem, składały się tylko ze 140 ułanów, 270 strzelców i niespełna 700 kosynierów.

To też po krótkiej, morderczej kanonadzie i kilkunastu salwach z ręcznej broni, piechota pruska rzuciła się do ataku na Miłosław.

Od strony Winno Góry, w olbrzymich szaro białych obłokach dymu, ryczały bez przerwy pruskie działa i granaty z nich gęsto padały dokoła, rozpękując się z hukiem straszliwym.

A z tych obłoków dymu wynurzały się spieszenie długie błyszczące kolumny pruskie, biegnące pędem na szczupłe siły polskie.

Artylerya polska biła z całych sił w atakujące kolumny i strzelcy poumieszczani w opłotkach, prażyli Prusaków ogniem karabinowym, ale strzały te nie powstrzymały ataku i w parę minut później piechota pruska wpadła na strzelców i kosynierów...

Na tę właśnie chwilę nadjechali Paczeński i Wojtuś, i skierowali się ku nielicznej jeździe polskiej, która stała nieco z boku.

— Hej! czego wy chcecie? — huknął ku nim jeden z oficerów, gdy podjechali do szeregów.

— A no, szwabów walić, panie kapitanie! — odparł Paczeński, salutując po wojskowemu.

— A to dobrze... Zawsze będzie o dwie szable więcej... Stańcie w tylnych szeregach—rozkazał oficer.

Dwaj ochotnicy pospiesznie wykonali rozkaz i zająwszy miejsce na końcu kolumny, patrzyli chciwie na bitwę.

Przed nimi, trochę na prawo, kosynierzy i strzelcy naciskani przez pięć razy liczniejszych wrogów, walczyli zażarcie.

Obłoki dymu prochowego zasłaniały ich co chwila, bo część strzelców utrzymywała nieustanny ogień z broni ręcznej i miarowy trzask wystrzałów rozlegał się wciąż. Ale gdy dymy rozwiały się na moment, widać było wyraźnie skłębione szeregi kosynierów i strzelców, odbijających zaciekle atak wrogów.

Błyskały co chwila w górze jasne ostrza kos i ze szczękiem złowrogim spadały na Prusaków, gwar i hałas rozgłośny rozlegał się dokoła, a nad tem wszystkim górował ryk pruskich armat, zasypujących polskie granatami.

Tuż w jasnym wiosennym powietrzu przelatywa-



Chorąży.

ły z warczeniem pociski pruskie, ale szczęściem pękały przeważnie opodal, rwąc ziemię w bruzdy głębokie.

Niestety jednak, były i takie, które wybuchały w polskich szeregach i wtedy lała się krew obficie, gdyż granat zwykle zabijał i ranił od razu kilku, lub kilkunastu nawet ludzi.

Bohaterskie zapasy kosynierów i strzelców z Prusakami, trwały już dobrą godzinę, lecz niestety, atak wrogów nie słabnął wcale, lecz przeciwnie wzmagał się wciąż.

Widocznem już było, że Polacy wobec ogromnej przewagi Prusaków, nie zdołają utrzymać Miłosławia.

To też naczelnik Mierosławski, nie chcąc wojska swego narażać na oczywistą zgubę, nakazał odwrót.

Zagrały żałośnie trąbki, i Polacy poczęli opuszczać powoli swe stanowiska, odcinając się wciąż i odstrzeliwując idącym za nimi Prusakom.

Najprzód poszła artylerya, za nią jazda, jako do walki w mieście mało przydatna, a z tyłu kosynierzy i strzelecy.

Wydostali się wreszcie na szeroką równinę na południe od Miłosławia, a tymczasem Prusacy gospodarowali w zdobytym miasteczku.

I tylko kilkuset pruskich huzarów i kirasyerów wraz z plutonem artylerji konnej, zapędziło się aż pod same polskie szeregi, ale w tejże chwili przybyła już Mierosławskiemu pomoc.

Garczyński nadciągnął właśnie ze swoim świeżym zupełnie oddziałem, a zdala widać było wychodzącą pośpiesznie z lasu kolumnę Białoskórskiego.

I zanim jazda pruska opatrzyć się zdołała, już walili na nią ułani Mierosławskiego i Garczyńskiego, a z boku zabiegali jej pędem kosynierzy.

I w oka mgnieniu oddział pruskiej jazdy poszedł w zupełną rozsypkę, huzarzy, kirasyerzy i artylerzyści w największym popłochu poczęli uciekać z powrotem do Miłosławia, a w szalonym tym pędzie wpadli tuż pod miastem na swoją własną piechotę i zmieszali ją, rozbili i stratowali.

A za uciekającymi gonili już strzelcy i kosynierzy i na ulicach miasta zawrzała znowu zaciepła walka.

I choć Prusacy byli jeszcze dwa razy liczniejsi od Polaków, nie mogli jednak utrzymać się w Miłosławiu i po krótkim oporze poczęli się cofać, zrazu powoli i w sfornych szeregach, a później coraz prędzej i w coraz większym nieładzie.

O 3-ej po południu, cała pruska armia, rozbita zupełnie, uciekała w popłochu ku Winnej Górze, goniona przez upojonych zwycięstwem ułanów...

Przed samym wieczorem, ułani na pomęczonych straszliwie koniach ścigali powoli do Miłosławia, a pomiędzy nimi jechali również Paczeński i Wojtuś.

Ten ostatni walczył mężnie przez cały dzień i machał szablą zajadle, rąbiąc z góry wrogów, ale w pogoni, już pod Winną Górą, nie zdołał uchylić się zupełnie od ciosu jakiegoś kirasyera i ten go z lekka drasnął szablą w policzek.

Jadący tuż Paczeński wpadł wnet na Prusaka i potężnym zamachem zrzucił go z konia, a sam przypadł do chłopca i obejrzał mu ranę.

— Et! głupstwo... za parę dni ani śladu nie będzie — mruknął z zadowoleniem.

Przewiązał mu twarz jakąś szmatą, — i pojechali. Gdy wracali do obozu, jeden z ułanów zapytał:

— Cóż to, chłopcze, upuścili ci krwi? Boli cię, co?

— Nic mnie nie boli... Nie wiele mi ten szwab zaszkodził — odrzekł Wojtuś.

— Zawsze już trochę krwi przelałeś za tę ziemię naszą? — rzekł Paczeński z uśmiechem.

— A przecież na to Polak ma krew, żeby ją za swoją ojczyznę przelewał—odparł Wojtuś poważnie.

— Mówisz, jak prawdziwy żołnierz? Kto cię tego nauczył? — zagadnął ten sam ułan.

— A dziaduś, który pod samym cesarzem Napoleonem służył...

— Opowiedz-no, to dopiero ciekawe muszą być rzeczy — zaczęli prosić ułani, patrząc z podziwem na tak młodego, a tak mężnego i rozsądnego chłopca.

Wojtuś nie dał się prosić i do samego Miłosławia opowiadał towarzyszom swoim to, co ongi od dziadunia słyszał.

VIII.

Pod Wrześnią.

Zwycięstwo miłosławskie wzbudziło ogromny zapal wśród żołnierzy naczelnika, i wszyscy z zapalem oczekiwali nowych bitew, by Prusaków zgnieść zupełnie i uwolnić od nich Wlekkopolskę.

Oficerowie jednak, aczkolwiek dumni z tego zwycięstwa, pragnęli jednak rozpoczęcia jak najrychlejszych układów z Prusakami, gdyż zdawało im się, że Prusacy, przekonawszy się na własnej skórze, o bojowej wartości sił polskich, chętnie zawrą pokój i przystaną na duże ulgi dla Polaków.

I podczas gdy obóz polski wrzał radosym gwa-

rem żołnierzy, podnieconych zwycięstwem i pragnących dalej bić Prusaków, wszyscy prawie oficerowie radzili u naczelnika, jak zawiazać pomyślne układy z wrogiem...

Mierosławski, zajęty temi naradami, nie mógł rozmówić się z Paczeńskim i Wojtusiem, którzy czekając na jego wezwanie, pozostali dalej w szeregach ułańskich.

Mierosławskiemu udało się na razie odwieść oficerów swoich od paktowania z Prusakami i zachęcić ich do dalszej walki. Zapadło więc postanowienie, aby pójść na Kujawy, pod Rogowo i tam ściągać do siebie lud i tworzyć większe siły.

Na tych naradach upłynął cały dzień 1-go maja i dopiero o 11-jej wieczorem wojsko naczelnika Mierosławskiego opuściło Miłosław i po kilkogodzinnym pochodzie już o świtanie zajęło Wrześnię, gdzie zatrzymano się na odpoczynek.

Ale gdy o czwartej po południu, szczupła armia polska miała wyruszyć w dalszą drogę, forpocztę nadbiegły do wodza z oznajmieniem, że od Gniezna pojawiły się znaczne siły pruskie.

To generał pruski Hirschfeld prowadził sześć armat, dwa szwadrony jazdy i cztery bataliony piechoty, co wszystko razem wynosiło dwa razy więcej od całego wojska naczelnika.

Ten ostatni wnet uformował swe wojsko do bitwy na północ od Wrześni, a frontem do wsi Sokołowa, odległej o ćwierć mili.

Środek pozycyi polskich zajęły cztery czworoboki kosynierów, ze strzelcami w pierwszych szeregach. Na prawem skrzydle reszta strzelców rozsypała się w tyralierkę wśród zarośli, na lewem zaś stanęły cztery armatki, a tuż przy nich jazda.

Prusacy weszli do Sokołowa i ustawiwszy przede wsią swe armaty, rozpoczęli gwałtowny ogień działowy na czworoboki kosynierów i na zarośla, w których leżeli ukryci strzelcy, a po półgodzinnej moździerzy kanonadzie pchnęli do ataku całą swoją jazdą.

Jazda ta z wielką fantazją i ogromnym impetem natarła na czworoboki polskie, ale gdy strzelcy powitali ją gęstemi i celnymi strzałami, a kosynierka z daleka jeszcze poczęła szczekać kosami, Prusaków strach obleciał i nie dobiegłszy do naszych, uciekli pod osłonę swoich armat.

Zagrzmiały radosne okrzyki w polskich szeregach i na rozkaz naczelnika kosynierzy ruszyli pędem na Prusaków.

Morderczy ogień z dział i broni ręcznej nie powstrzymuje ich ani na chwilę, dzielni chłopci walą jak burza na pozycje pruskie i wpadają do Sokołowa.

Tu zawrzała straszliwa, mordercza bitwa, lecz nie trwała już długo.

Pod potężnymi ciosami kos otwierały się całe niemal ulice w pruskich szeregach i kosynierzy jak kosiarze na łanie dostalego zboża cięli znienawidzonych szwabów zawzięcie, bez wytchnienia.

Próżno się piechur pruski zasłania bagnetem lub szablą: długa kosa zdala go dosięga, tnie, rani i zabija...

A gdy jeszcze jazda polska skoczyła z lewej strony, chcąc odwrót Prusakom przeciąć, a z prawej zabiegali strzelcy z zarośli, wtedy generał Hirschfeld postanowił opuścić Sokołowo i cofać się ku Gnieznu, by całego swego wojska nie stracić.

Zagrały trąbki, zaturkotały bębny i prusactwo pośpiesznie wyszło z Sokołowa, kierując się ku najbliższej wsi Gulezewkowi.

Przez pierwszych parę chwil odwrót ten odbywał się jeszcze w jakim takim ładzie, ale pod samym Gulezewkiem szeregi pruskie, napierane z bliska przez naszych, poczęły się ścierać, kłębić i mieszać, aż wreszcie poszły w zupełną rozsypkę.

Cały oddział wyborowego pruskiego wojska w dzikim popłochu uciekał co sił, porzucając broń, tornistry i ładownice.

I dopiero w Czeluścinie, o dobre półtorej mili od Sokołowa, Prusacy zatrzymali się i Hirschfeld chciał tam noc przepędzić, lecz niepozwolił na to Mierosławski.

Skoro tylko Prusacy rzucili się do ucieczki, Naczelnik zebrawszy całą swoją jazdę, ruszył za nimi...

IX.

Zdobycie sztandaru.

Noc już zapadała, gdy ułani nasi zbliżyli się pod Czeluścin...

Posuwali się szybko drogą, w zwartych porządku szeregach, a na ich czele Mierosławski.

Pod samym Czeluścinem natknęli się na kilkunastu piechurów pruskich, widocznie straż trzymających, którzy huknęli do nich z karabinów.

Nie wiele to naszym zaszkodziło, zaledwie dwaj czy trzej ułani osunęli się ranni na ziemię.

— No, chłopcy—w nich!.. Nie damy przecież szwabom rozkładać się spokojnie na nocleg! — zakrzyknął naczelnik na swoich.

I w pół pacierza straż pruska rozniesiona już była na szablach i lancach i ułani ruszyli dalej — do wsi.

Tu, w obejściach gospodarskich z poza budynków i opłotków, Prusacy jeszcze próbowali stawić opór, ale rychło nadbiegli nasi strzelcy i kosynierzy i z ich pomocą naczelnik ostatecznie zmusił wrogów do dalszej ucieczki.

Popędziły więc hen! ku Gnieznu niedobitki pruskie, a za nimi gnała jeszcze część ułanów...

Noc już była i księżyc wschodził właśnie, gdy ułani powracali do Czeluścina.

Jechali wolno, śpiewając wesoło lub gawędząc radośnie pomiędzy sobą i z dumą spoglądali na zdobyty pruski sztandar.

Sztandar ten trzepotał się zlekka w podmuchach wietrzyku, a szczęśliwy jego zdobywca trzymał go wysoko w górze..

Zdobycą tym był Wojtuś Mocarek. Gdy zaraz za Czeluścinem ułani wpadli w uciekającą pruską piechotę, Wojtuś zdaleka dojrzał sztandar pułkowy, z którym pośpiesznie uciekał pruski podoficer.

— Panie żołnierzu — zwrócił się do Paczeńskiego, — tam sztandar...

— Prawda, prawda!...

Ruszyli obydwaj z kopyta i dopadli do Prusaka, a ten widząc, że nie ujdzie, z ostatniej rozpachy zamachnął się drzewcem na Paczeńskiego. Ale Wojtuś w tej chwili ciął go szablą po ręce, i Prusak, rycząc z bólu, sztandar wypuścił i do ziemi przysiadł, a chłopiec porwał za drzewce...

— A toś chwyt, mój kochany! — rzekł Paczeński, patrząc z zachwytem na swego towarzysza — tyś widać tylko na żołnierza stworzony!...

Inni ułani obsypywali również Wojtusia pochwalami i wiedli go z dumą i radością do Naczelnika.

Naczelnik w otoczeniu oficerów czekał w Czeluścinie na powrót ułanów, a gdy ujrzał sztandar i dowiedział się, że to Wojtuś go zdobył, uścisnął go serdecznie za głowę i rzekł z głębokim wzruszeniem:

— Mój kochany, czemu ja cię wynagrodzę za twe wczorajsze i dzisiejsze czyny?... Za twoją sprawą wczoraj do moich rąk doszły takie ważne listy, dziś

znowu sztandar nieprzyjacielski zdobyłeś, a widzę, żeś i ranę otrzymał? Czem ci zapłacę za twoją dzielność?...

— Wielmożny panie naczelniku! ja zapłaty niejakej nie chcę, — szepnął chłopiec, osuwając się do kolan Mierosławskiego.

— Ba, za to coś uczynił, pieniędzmi odplacić nie można, bo miłość ojczyzny i odwaga, na pieniądze się nie cenia?... Ale ja muszę ci coś ofiarować na dowód twojej dzielności...

Zamyślił się przez chwilę i nagle zapytał:

— A skąd ty masz tę szablę?

— To szabla pana porucznika Żarowskiego, który ranny leży w chacie u tatusia... Pożyczył mi jej pan żołnierz Paczeński — odrzekł Wojtuś, wskazując na Paczeńskiego.

Mierosławskiemu rozjaśniła się twarz i szybko odpasawszy własną szablę, oddał ją chłopcu.

— Tamtą szablę zwróć panu Żarowskiemu — rzekł poważnie — a tę zachowaj dla siebie, jako pamiątkę dnia dzisiejszego... Najlepszy to dar dla ciebie, boś prawy, dzielny żołnierz, i dobry syn Polski!

I raz jeszcze uściskał chłopca za głowę, a Wojtuś, wzruszony głęboko, przypadł do naczelnika i serdecznie mu dziękował...

.....

Zjednoczenie Polek
Radom

Zjednoczenie Polek
Radom

X.

Po zwycięztwach.

Dwa te świetne zwycięstwa polskie nie wydały żadnych praktycznych rezultatów, gdyż oficerowie Mierosławskiego wątpili w możliwość zupełnego pobicia Prusaków i uwolnienie od nich Wielkopolski.

— Zwyciężyliśmy ich dwa razy — mówili — poznali Prusacy naszą siłę i gdy w układy z nimi wejdziemy, otrzymamy ogromne ulgi dla kraju.

I rad nierad, Mierosławski zgodzić się musiał na te poglądy i armię swoją rozpuszczać począł.

W dniu 8-m maja nie było już wojska polskiego, i dzielni wojownicy rozeszli się, zakopawszy broń lub ukrywwszy ją w niedostępnych miejscach.

Większość z nich powróciła do domów rodzinnych, ale niektórzy ruszyli do Węgier pomagać Madziarom *), walczyć za wolność, inni zaś szukali schronienia w gościnnej Francji, z której zasady wolności szły na cały świat...

Paczeński i Wojtuś pożyczili od chłopca w Czeluścinie wozu i uprzęży, zaprzęgli do wozu swoje konie i ukrywszy w słomie trzy szable, pojechali do Wojnowic.

— Panie żołnierzu — zagadnął w drodze Wojtuś Paczeńskiego — czy myślicie, że będzie nam teraz lepiej?...

— Niby czy szwabów nam coś pofolguje? Oj, chyba nie! Podły to i szelmowski naród i myślę, że tylko się będzie mścił na nas!

— To bierzmy wszyscy za broń i nie dajmy się!...

— Ba, łatwo tak mówić! Pobiliśmy teraz co prawda Prsaków, choć zawsze ich było dwóch albo i więcej na każdego z nas. Ale ich będzie dziesięciu na jednego, to cóż my poradzimy? A szwabów chmura jest ogromna i wojsko, i siłę mają, i dobrą broń, i armat

*) Madziarzy — Węgrzy.

dużo!... Niema co, trzeba czekać, może kiedyś i na te gadziny przyjdzie koniec...

— Pau Jezus wejrzy na naszą krzywdę i szwabów przykarci...

— Oj, pewno!... Nie ominie szwabów kara za te ich wszystkie szaleństwa. Pan Jezus nie rychliwy, ale sprawiedliwy i każdego wedle zasług wynagrodzi, albo ukarze... Przyjdzie i na szwabów czas!...

.
I napewno przyjdzie czas, kiedy nad hardymi Prusakami zawisnie miecz gniewu Pańskiego i za znęcanie się nad nami, za tysiące tysięcy prześladowań przeróżnych, za wywłaszczanie z ziemi rodzinnej, za katorżenie dzieci polskich, za krzyczącą niesprawiedliwość, zacięłość, oszczerstwo i butę odwieczni wrogowie nasi straszliwie ukarani zostaną.

K O N I E C .



DZIECI WIELKOPOLSKIE.

TRAGEDYA JAKICH WIELE.

OSOBY.

Matka, wieśniaczka Wielkopolska.

Ksiądz.

Nauczyciel.

Wojtuś.

Lekarz.

Anusia.

DZIECI WIELKOPOLSKIE.

Podajemy czytelnikom naszym prześliczny obrazek z dziejów męczeństwa polskiego w Wielkopolsce, skreślony przez utalentowanego poetę Józefa Kościelskiego, znakomitego znawcę tamtejszych stosunków, pisarza i męża zasługi i poświęcenia. Obrazek ten jednocześnie zalecamy do grania w teatrzykach amatorskich.

Scena przedstawia wnętrze prostej wieśniaczej chaty.

SCENA I.

Matka, Ksiądz.

Matka (krząta się po izbie, zamiatając podłogę i okurzając sprzęty, przyczem modli się głośno). Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się Imie Twoje, bądź wola Twoja (zatrzymuje się) o, tak, bądź wola Twoja!

Cieężko to i trudno, bardzo trudno, a przecież — bądź wola Twoja, jako na ziemi, tak i w niebie! Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj, i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym — (zatrzymuje się potem z wysileniem) winowajcom! — O, to jeszcze trudniej! Na wolę Bożą się zgodzić — łatwiej, choć sroga, ale przebaczyć zbrodniarzom, co nam wszystko zabierają — trudniej; ach, jak trudno! — a przecież bądź wola Twoja... jako i my odpuszczamy naszym winowajcom... I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego...

Książdz (wchodząc) Amen! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Matka. Na wieki wieków! Dobrodzieju najmilszy (całuje go w rękę) jakże to zawsze pamiętacie o biednej sierocie!

Książdz. Nie biednej, matko, nie biednej! Kto się umiał wzbić na wyżyny modlitwy Pańskiej, ten nie biedny. Kto umiał zwalczyć ludzki ból i ludzki żal, ten już posiadał i bogactwa, i mądrość wszelaką.

Matka. Dobrodzieju złoty, co ja posiadałam, z waszej to ręki i z waszej mowy. A serce przecież buntuje się jeszcze nieomal przy każdym pacierzu.



Dzisiejsza dziatwa wielkopolska z pod Wrześni i Miłosławia modli się o lepszą przyszłość.

Ksiądz. Bez trudu niema zwycięstwa. Buntuje się w was to złe, które wyrzucacie tym, co was pokrzywdzili,—ale zwycięża ta siła, której oni nie mają.

Matka. Jakiejże oni siły nie mają i jakiejże nie używają, aby nas zniweczyć!

Ksiądz. Nie mają tej siły jedynej, co serca rozszerza i ducha podnosi. My ją miejmy, a ich siła prysnie przed naszą.

Matka. Na naszych grobach.

Ksiądz. A czyż grób nie kołyską?! Ciężko was Bóg nawiedził, zabierając wam syna i męża, ale została wam córka, a ta — córka — to ognisko Boże, które rozżarzy się krzywdą waszą i ogień przekaże pokoleniom.

Matka. A moje łzy kto wróci?

Ksiądz. I lza jest ogniem, gdy ją krzywda wy-cisnęła. Czy wy myślicie, że wasza Anusia nie potężnieje lzą waszą, nie rośnie na waszym bólu? A tych łez matek u nas tyle, że wystarczą na dług szereg pokoleń.

Matka. O, mój dobrodzieju, wyście mądry i święty—(poruszenie przeczące księdza)—o, tak, święty! — Ja zawsze mówię, że nie ten ksiądz święty, co tylko

niebo kocha, ale ten, który kocha tę naszą ziemię. Ja prosta kobieta, ale to wiem, dla tego słucham was w pokorze, choć to, co każecie, to często nad siły!

Ksiądz. Siły są na wszystko, co uznajemy za dobre. Gdy wam do wojska wzięli syna..

Matka. O, to jeszcze było najłatwiej przeboleć. Wzięli go do wojska, ano mówiłam: tylu ich idzie i tylu ich wraca... Ale gdy go zapędzili het! za morze do murzynów, gdy mu kazali zabijać tych, co własnej ziemi bronią...

Ksiądz. To wówczas poczęliście sarkać przeciw wyrokowi Bożemu...

Matka. O, tak, sarkałam, grzeszyłam i dlatego pewnie Bóg mię skarał i kazał mu tam kości złożyć bez naszego pogrzebu, bez ostatniej pociechy i nie w tej naszej drogiej ziemi, co jak matka nas przygar-nia. O, dolaż moja, dola!

Ksiądz. Pocieszyłem was wówczas, jak mogłem. Mówilem, że zginął, spełniając obowiązek...

Matka. Nie swój!...

Ksiądz. W walce o rozszerzenie wiary...

Matka. Nie swojej!...

Ksiądz. Oświaty..

Matka. Takiej, jak u nas, opartej na pięści!...

Ksiądz. Nie burzcie się, matko! Duch w was silniejszy i wiara krzepsza, niż okazać pragniecie. Wszakże i po drugim waszem nieszczęściu, po śmierci męża...

Matka (z goryczą). Samobójczej!

Ksiądz. A czyż nie pochowałem go uczciwie na święconej ziemi?...

Matka. Łaska to wasza.

Ksiądz. Nie łaska, ale przekonanie, że tak należało. Bóg mi tego za grzech nie policzy, bo Sam wie, że pociągnięta była struna, nim pękła. Sami wiecie, że wasz nieboszczyk — to był dusza człowiek: pobożny, uczciwy, trzeźwy i pracowity. Całe życie pracował i ciulał na to tylko, aby zdobyć na starość kęs tej ziemi, którą kochał, i zbudował na niej własną chatę dla żony, dla córki. Bóg błogosławił jego pracy, ale gdy już osiągnął cel żywota, gdy za ciężko zapracowany grosz kupił szmat ziemi i własnymi rękoma wznosił na nim tę strzechę, której tak zawsze pragnął, spadł nań grom — tak straszny, że się dusza pod nim ugięła — i nie wytrzymała próby.

Matka. O, tak, pamiętam! Gdy przyszli żandarmi i poczęto rozbierać te mury, które sam stawiał, zrzucać ten dach, pod którym sądził, że umrze... Nie zapomnę tej rozpacz... Motyką rozwalili łeb żandarmowi i uciekł, — wydobyto go z wody nazajutrz. O, dola moja, dola!...

Ksiądz. Zapomnijcie o ciężkiej przeszłości — i zdajcie się na wolę Nieba. Macie córkę, to przyszłość, dla niej żyć warto!

Matka. Ach, i to ciągly kłopot! Dziecko takie wątłe, a ta szkoła tak gnębi!..

Ksiądz. Czemu dotąd nie wróciła?

Matka. A to przecie codzien areszt odsiaduje. Ani się to najeść może, ani wypocząć. A prędzejby życie dała, niżby miała pacierz mówić inaczej, jak po naszymu.

Ksiądz. Dobre dziecko i dzielne dziecko! Wiedzcie, matko, z tego posiewu naszych cierpień będzie pociecha dla was i dla sprawy. (Wbiega Wojtuś, chłopiec dwunastoletni z książkami).

Zjednoczenie Polek
Radom

SCENA II.

Ciż, Wojtuś, Kobiety wiejskie.

Wojtuś. Ciotko, ciotko!.. (sposzrega Księdza, idzie całuje go w rękę).

Matka. Anusia, gdzie Anusia?!

Wojtuś. Pan doktor kazał mibiegnąć przodem, byście się nie przestraszyli.

Matka. Doktor!... co się stało?... bili moje dziecko!?

Wojtuś. A juści, pan nauczyciel tak ją cisnął o ławę aż pękła. A jak zaczął kopać nogami...

Matka. Jezu wielki!—biegnę!

Wojtuś (powstrzymuje ją). Pan doktor ją sam niesie, bo do cna nie może...

Matka. Nie żyje... Zabili mi dziecko!... (Wchodzi lekarz, niosąc Anusię, blade dziewczę dziesięcioletnie, za nią kilkoro dzieci i kobiet). Dziecko moje!

Lekarz. Uspokójcie się, matko, przyszła już do siebie, ale potrzebuje ciszy i spokoju. (Matka odbiera Anusię i kładzie na łóżko). Proszę, aby wszyscy wyszli.

Pierwsza kobieta Zbereźniki, wszystkie dzieci nam pozabijają!

Druga kobieta. Czyż Pan Jezus ogluchł na krzywdę naszą?...

Lekarz. Proszę stanowczo, aby wszyscy wyszli! Pomóż mi, proboszczu! (Ksiądz uspakaja kobiety i pcha je ku drzwiom; wychodzą wraz z dziećmi, łając i wygrażając).

Ksiądz (wracając do lekarza). Jakże to?

Lekarz (półgłosem). Żle! Lękam się wewnętrznych obrażeń. Wstrząśnienie mózgu, żebra połamane.

Ksiądz (daje znaki oburzenia).

Matka (która ułożyła Anusię—wraca). Ratuj, doktorze!

Lekarz. Powtarzam, że chora wymaga spokoju, od tego wszystko zawisło. Zaraz muszą przynieść z apteki... Otóż i jest.

Chłopiec wbiega i oddaje mu lekarstwa i bandarzę; lekarz wskazuje mu, aby wyszedł (chłopiec wychodzi). Zaraz się zabiorę do opatrunku i da Bóg, wszystko będzie dobrze (idzie do łóżka i opatruje chorą, — matka mu pomaga, dając znaki wielkiego wzru-

szenia. Przez ten czas ksiądz skinął na Wojtusa i odprowadza go w drugi kąt izby).

Ksiądz. Jak to było?

Wojtuś. A no, upraszam łaski dobrodzieja, to już rano na religii wzgrązał jej i mówił, że na religii bić nie będzie, ale niech-no przyjdzie do haresztu.

Ksiądz. No, i cóż dalej?...

Wojtuś. A no, jakeśmy przyszli do haresztu, to on Anusi kazał pisać sto razy: „Matka nie pozwala mi słuchać nauczyciela, bo jest głupia“. A ona powieda: napiszę i tysiąc razy, „że mi matka nie pozwala“, ale że „jest głupia“, to nie napiszę ani razu, bo to grzech. A on taki czerwony, jak indor, krzyczy: to pewno ten wasz ksiądz buntownik—(całuje księdza w rękę) przepraszam jegomości...

Ksiądz. Mów, dziecko, mów wszystko!..

Wojtuś. A no, to pewno ksiądz was tak fałszywie uczy. Grzechem jest nie słuchać władzy. A Anusia mówi: To pewno wasze odmieńskie przykazanie takie, bo nasze każe rodziców słuchać.

Ksiądz. Dzielne dziecko, no, i cóż dalej?...

Wojtuś. A no, więc on zaraz jak ją porwie, jak ciśnie z całej mocy o ławę, jak nie pocznie kopać

nogami i wyklinać, tak jej zaraz ustami krew pluśnięła!

Ksiądz. Wielki Boże! Mógł ją na miejscu zabić!...

Wojtuś. I byłby zabił, bo wyglądał, jak zwierz, ale jak ja zobaczyłem krew, jak go nie ucapnę za nogę, tak on Niemiec zaraz mię chwycił..

Ksiądz. Zbił cię?...

Wojtuś. Trochę mię tam poturbował, ale przynajmniej Anusię puścił.

Ksiądz. Dobrześ zrobił, chłopcze! (glaszcze go po głowie).

Wojtuś. Dzieciaki się zaraz z krzykiem rozbiegły, a właśnie pan doktor wedle szkoły przechodził i tyła!...

Anusia (mającą, na łóżku). Bij, bij, bij!

Matka. Doktorze, ratuj!

Lekarz. Już się uspakaja. Teraz zapewne kilka godzin spokojną będzie. (Matka klęka przy łóżku, ukrywając twarz w dłonie, lekarz przechodzi do księdza). Idź, Wojtuś, idź!— a powiedz ludziom, co przed chatą stoją, aby się rozeszli, bo tu nie nie pomogą, a chorej przeszkadzają. Idź, chłopcze!

Wojtuś. Już pójdę, panie doktorze, ale jak tam będzie z Anusią?

Lekarz. Wszystko w ręku Boga! (Wojtuś całuje w rękę lekarza i księdza).

Lekarz (do księdza). Tu już chyba twoje modły cud sprawią, bo moja sztuka bezsilna!

Ksiądz. Biedna matka! — (przechodzi do łóżka i klęka obok matki. Wchodzi nauczyciel).

SCENA III.

Ciż, Nauczyciel.

Lekarz. Pan tu?! Idź pan precz! Twoja ofiara dogorywał!

Nauczyciel. Moja ofiara? Naturalnie, ja zaraz wiedziałem, że wy z tego ukujecie intrygę. Ale ja się was nie boję!

Lekarz. A czegoż byście się bali, gdy się nie boicie Boga? Idź precz stąd, nie kalaj tego zgonu i tej boleści!

Nauczyciel. Pan doktor myśli, że może mnie

lżyć, bo jest oficerem, a ja — nie, ale ja zadenuncyuję pana do pulku, że mi pan dzieci buntuje.

Lekarz. Denuncyacya — dobry przykład dla uczniów, piękny pedagog!

Nauczyciel. Niech pan nie mówi na moją pedagogię, bo ja mam piśmienne uznanie od samego ministra, a za postępy mych uczniów w niemieckim języku mam order czerwonego orła.

Lekarz. Słusznie, — czerwony orzeł za czerwoną krew. Ale dosyć tego, idź stąd, nikczemniku!

Nauczyciel. Nie pójdę, bo ja muszę naprzód zbadać tę całą komedię. Ta dziewczyna sama się rzucała o ławę i zraniła...

Lekarz. Proces wykaże.

Nauczyciel. Proces? ja przysięgnę, a sąd zawsze nauczycielom wierzy.

Lekarz. O, tak, wy się wszyscy rozumiecie, jak cyganie na jarmarku.

Nauczyciel. Pan doktor obraża pruskie sądy, to już druga zbrodnia.

Lekarz. A jak ci kości połamię, nędzniku, to będzie trzecia zbrodnia!

Matka. (Odwraca się i spostrzega nauczyciela.

Biegnie ku niemu z zaciśniętymi pięściami). On, on, ten zbrodniarz!...

Ksiądz (idąc za nią, kładzie jej rękę na ramieniu). I nie wódz nas na pokuszenie...

Matka (staje jak wryta, powtarzając głucho). I nie wódz nas na pokuszenie!...

Ksiądz (do nauczyciela). Nie przemawiam do pana w imię uczuć ludzkich, to byłoby daremnie, ale obecność twoja w tym domu jest karygodną; to najście, za które prawo karze.

Lekarz. Daj pokój, proboszczu,—czyż my mamy prawa?

Nauczyciel. A tobie co do mnie, klecho intrygancie! Ja was wszystkich nauczę, kto jest tutaj panem!...

Wojtuś (wbiega). Jegomość, tam się ludzie zebraли z cepami i kłonicami — i wygrażają, że go stąd żywego nie puszczą?

Ksiądz. Kogo? na rany Boskie?

Wojtuś. A o! — tego! (wskazuje na nauczyciela).

Nauczyciel. Szanowny księżu proboszczu, macie wpływ na tych ludzi. Powiedźcie im, że ja nic nie

winien, że ja tylko spełniam rozkazy władzy. (Do doktora). Doktorze, pan jesteś taki rozsądny człowiek...

Ksiądz. Tak, idź doktorze, z nim, przeprowadź go, uspokój lud, powiedz, aby nas w gorszą biedę nie pogrążali. Powiedz im, że siłą słabych jest umieć zapanować nad sobą!

Nauczyciel. O, tak, pan doktor im powie, pan doktor taki mądry...

Lekarz (który patrzył na nauczyciela z pogardą). A więc chodź pan, przeprowadzę pana bezpiecznie!

Nauczyciel (idzie — zwraca się). Daj mi pan słowo oficerskie.

Lekarz. Nie, daję słowo Polaka, to pewniejsza rękojmia.

Nauczyciel. Ufam panu. Odprowadź pan mnie aż do poczty, bo muszę telegrafować po żandarmów.

Lekarz. Bądź spokojny, nasi ludzie nic ci nie zrobią, gdy do nich przemówię. Twoje szczęście, żeś ich dotąd nie zgermanizował, bo byłoby dziś kuso z tobą. Chodźmy!

Nauczyciel (idzie ku drzwiom, obraca się do

Wojtusia). A ty, co się tu kręcisz małe ścierwo?... — Czekaj, jeno przyjdiesz do szkoły!

Lekarz, Widzisz pan! — nie wymagam od ciebie słowa, że tego chłopca nie ukrzywdzisz, bo choć byś je dał, — nie uwierzę; ty mojemu wierzyć możesz (wychodzą lekarz i nauczyciel. Wojtuś pokazuje za nauczycielem język, poczem staje w głowach łóżka).

Matka (która powróciła, klęczy przy łóżku, odwraca się). Doktor poszedł, a ona coraz bledsza, coraz ciężiej oddycha.

Ksiądz. Powróci niebawem. Gdy powróci, pomoże, bo spełnia właśnie miły Bogu uczynek (klęka obok niej).

Matka. O. doloż moja, dolo!

Anusia (w malignie). Panienko Najświętsza... idę już, idę!...

Matka (w rozpacz). Nie chodź, dziecko, zostań u matki!

Anusia. Idę już, idę!.. kiedy wołasz, idę, idę... (opada, poczem zrywa się). Czy mi żal czego?... a już ci, żal matki, żal (matka zanosi się od płaczu) i szkoły żal...

Ksiądz. Cicho, cicho,—szkoły?

Anusia. I szkoły żal, bo tam cierpienie — za Ciebie—Przeczysta Panienko, za Twego Syna, za wiarę, za ojcowiznę... (opada znowu, w głębi odzywa się cicha muzyka; Anusia zrywa się). Ach, jak pięknie, idę, idę... już Najświętsza Panienka wyciąga ramiona, a dzieci tyle wokoło—ach, tyle dzieci, — jakie piękne dzieci—a każde ma koraliki czorwone na szyjce,—śliczne koraliki. Nie, to nie koraliki, to krew, krew (z wysiłkiem). Młodzianki! (opada znowu).

Matka. Anusiu, Anusiu, ty powiedz Najświętszej Matce, niech cię nie woła... Ona ma tyle... tyle dzieci, tyle aniołków, chóry aniołków... Ja tylko ciebie... ja tylko ciebie!

Lekarz (wszedł,—do księdza). Zbudziła się?

Ksiądz (półgłosem do doktora). Majaczy.

Lekarz. Koniec... Zajmij się matką!

Anusia (zrywa się). Tyle fiołków, jak pachną! Tam piękniej, niż u nas, o wiele piękniej... chociaż i tu dobrze u matuli... u matuli (opada).

Matka. Anusiu! nie odchodź od biednej matki. Ja taka sama...

Anusia (zrywa się w największym upojeniu). Muzyka, jaka muzyka!... śpiewy... ja tak samo umiem

śpiewać... umiem tak samo!.. To po naszymu (śpiewa, klęcząc na łóżku ze złożonymi rękami). A tam w górze Anieli wyśpiewują, Anieli: Chwała niechaj Bogu będzie w niebie, a na ziemi... (urywa) ból, ból... krew! (opada i kona).

Matka. Dziecko!

Ksiądz (kładąc jej rękę na głowie). Już orędowniczka!

Matka (rzuciła się na ciało, po chwili zrywa się). Zbóje!—zabili, zabili—ostatnią pociechę!...

Ksiądz (uroczyście). Bądź wola Twoja!

Matka. Nie, nie! to nie Boska wola,—Bóg nie zabija!

Ksiądz. Bóg wskrzesza! Słyszałaś z jej ust, dokąd szła, kto ją wołał? Ona bez winy...

Matka. Bez winy!

Ksiądz. I odpuść nam nasze winy...

Matka. I odpuść nam nasze winy...

Ksiądz. Jako i my odpuszczamy...

Matka. Nie, nie, nie mogę!

Ksiądz (z naciskiem)... naszym winowajcom.

Matka (pada na kolana i powtarza) naszym winowajcom! (kryje twarz w dłoń).

Ksiądz. I nie wódź nas na pokuszenie...

Matka (zrywa się w największym uniesieniu z wzniesionymi w górę ramionami). Ale nas zbaw odezłego!...

Ksiądz i Lekarz. Amen!

K O N I E C.

02119

Zjeńnoczenie Polek
Radom





